

ISSN 2353-933X

respublica

DAJE DO MYŚLENIA

NR 3/2023



WYBORY: CZY UMIEMY POROZMAWIAĆ O POLSCE?

KILJAN | GWIZDAK | RAFALSKA | SABAT | HOMAŃSKA

Spis treści

4:

Tomasz Kasprowicz

WYBORY PRZECIWKO

6:

Konrad Kiljan

ODNOWA TVP NIE WYSTARCZY

13:

Jarosław Gwizdak

KOGO TO OBCHODZI?

19:

Dominika Rafalska

INFORMACJA CZY INFOTAINMENT?

Rozmowa z Mateuszem Sabatem.

26:

Agnieszka Homańska

MILCZENIE WYBORCY NIE JEST ZŁOTEM

32:

Piotr Górski

ZWYKŁA NIENAWIŚĆ

36:

Paweł Marczewski

POLSKA POTRZEBUJE KOREKTY DEMOGRAFICZNEJ

TOMASZ KASPROWICZ

WYBORY PRZECIWKO

Po dłuższej przerwie przed nami kolejne wybory – rozpoczynające kolejny maraton wyborczy kończący się dopiero za dwa lata. W tym momencie uwagę wszystkich zaprzątają sondaże i, mniej lub bardziej rzeczowe, dyskusje, a czasem zwykłe przepychanki i pyskówki. Dzieje się tak nie bez powodu – wynik tych wyborów będzie kluczowy dla Polski na kilka dekad. „Res Publica” chce jednak skłonić do myślenia o tym, co te wybory mówią o nas: o społeczeństwie i o demokracji.

Postępująca polaryzacja doprowadziła do tego, że zwalczające się plemiona nie są w stanie w żaden sposób rozmawiać ze sobą. Jeżeli jedna strona weźmie na sztandary jakiś postulat, druga będzie go zwalczać. W polskiej polityce już dawno nie chodzi o sens, tylko o tożsamość w podziale na „my” kontra „oni”. To bardzo groźna sytuacja, gdzie poglądy nie ucierają się w procesie politycznym, a tworzą osie podziału. Brak nam debaty – debaty polityków, liderów, autorytetów, w końcu obywateli. To tylko monologi skierowane do przekonanych. O tym, jak debaty mogłyby w Polsce wyglądać w wymiarze wręcz instytucjonalnym pisze Konrad Kiljan. Oby tak się stało – choć na chwilę obecną prawie nikomu na tym nie zależy.

Skoro debatę paraliżuje polaryzacja – być może udałoby się nam zdepolaryzować społeczeństwo? W przeszłości wielu już tego próbowało, ale bez większego skutku – dziś poszukujący trzecich dróg balansują na granicy progu wyborczego. Zdepolaryzować nie potrafiły nas też, wydawać by się mogło uniwersalne wartości, jakimi są na przykład rządy prawa, o czym pisze Jarosław Gwizdak. Wyraźnie ciągle nam mało wewnętrznej wojny.

Mamy duży apetyt na wzajemną nienawiść i to nie od dzisiaj. Przypomina o tym artykuł Piotra Górskiego z 2019 r. Co gorsza wydaje się, że w historii nie znamy zbyt wielu przykładów, gdzie spolaryzowane społeczeństwo nagle dochodzi do wewnętrznej zgody – bez zagrożenia z zewnątrz.

Sama polaryzacja jest na rękę politykom największych partii, którzy do dzielenia nas wykorzystują stare sprawdzone metody. Mowa choćby o niedostosowywaniu liczby mandatów do liczby osób zamieszkujących okręgi – co może dawać PiS-owi nawet kilkanaście mandatów więcej niż by się proporcjonalnie należało, bo duże miasta są w parlamencie niedoszacowane. Więcej o tym zjawisku w artykule Pawła Marczewskiego. Ale oprócz metod tradycyjnych, politycy wykorzystują także te nowe i jeszcze niesprawdzone. O tych drugich można przeczytać w rozmowie Dominiki Rafalskiej z Mateuszem Sabatem. Mówi on, jak nowe media pozwalają manipulować i rozpalać emocje.

Zastanawiamy się też, czy wysoki poziom emocji nie jest powodem apatii politycznej dużej części społeczeństwa. W końcu frekwencja wyborcza w Polsce nie jest powodem do dumy. Jednak jeśli się nad tym zastanowić, właściwie nie wiemy kim są niegłoszący. Jako wytłumaczenie nie wystarczą proste slogany: że to młodzi, czy wykluczeni. To, co o nich wiemy, próbuje zebrać w swoim artykule Agnieszka Homańska.

To, o czym staramy się opowiedzieć dotyczy nie tylko tych wyborów, ale też każdego kolejnych. Ma dać do myślenia nie tylko o tym jak jest, ale też co zrobić by w końcu było inaczej.

Zapraszamy do lektury.

TOMASZ KASPROWICZ – redaktor naczelny „Res Publicki Nowej”.

KONRAD KILJAN

ODNOWA TVP

NIE WYSTARCZY

Jeśli chcemy, by przed wyborami w 2025 r. można było nareszcie prowadzić rzetelne debaty polityczne, już dziś trzeba pomyśleć o nowych rozwiązaniach.

6 lipca 2020 r. przeszedł do historii jako jeden z najbardziej wstydlivych dni w dziejach polskiej demokracji. Po raz pierwszy w III RP dwaj kandydaci na urząd prezydenta nie spotkali się w telewizyjnym studiu na przedwyborczej debacie. Gdy Andrzej Duda występował w Końskich (transmisja w TVP Info, TVP 1 i TVP Polonia), Rafał Trzaskowski odpowiadał na pytania dziennikarzy z kilkunastu stacji w Lesznie (transmisja w TVN24, Polsat News, mediach społecznościowych kandydata i Koalicji Obywatelskiej). Zamiast wymiany wizji i argumentów, podzieleni na nienawistne obozy spadkobiercy „Solidarności” zaproponowali Polsce dwa wiece z monologami swoich kandydatów. Prezydent nie chciał wziąć udziału w debacie przygotowanej bez Telewizji Polskiej, a kandydat opozycji w spektaklu prowadzonym wyłącznie przez nią.

Nawet jeśli jesienią TVP nie doprowadzi do podobnej kompromitacji, warto zastanowić się, jak moglibyśmy zmienić sam sposób organizacji debat, które i przed 2020 r. nie były widowiskami najwyższej jakości. Zakładając, że przed 15 października uda się zgromadzić w jednym studiu potencjalnych kandydatów na urząd premiera, możemy spodziewać się płytkich i stronniczo prowadzonych dyskusji. Przygotowanie ich w sposób uwzględniający uwarunkowania dynamicznie zmieniającej się rzeczywistości

polityczno-medialnej nie jest prostym zadaniem. Zamiast oczekiwać, że dana stacja poradzi sobie z jego wykonaniem, powinniśmy zmobilizować do tego ekspertów i entuzjastów społeczeństwa obywatelskiego.

NOWE PROBLEMY, STARE ROZWIĄZANIA

Dzieje debat przedwyborczych ściśle wiążą się z przemianami systemu medialnego. Niezależnie od wielu krytycznych uwag odbiorców, komentatorów i badaczy, przyciągają liczną widownię (prawie 11 mln osób oglądało tylko na żywo debatę Komorowski – Duda w 2015 r.). Poza przedstawieniem odbiorcom przeglądu programów i postulatów, zgromadzenie w jednym miejscu wszystkich kandydatów to także sprawdzian ich gotowości do pełnienia funkcji reprezentacyjnej. Bezpośrednia dyskusja i fizyczna bliskość kandydatów pozwala odbiorcom ocenić, jak będą się czuć gdy jedna z osób w studiu nazywana będzie prezydentem lub premierem ich kraju.

Radio i telewizja przyczyniły się do wytworzenia, uważanych dziś za klasyczne, formatów debat których erę otworzyło starcie Kennedy – Nixon. Ich organizacja utkwiała w dużym stopniu w schematach widowisk medialnych charakterystycznych dla XX wieku. Przed rewolucją cyfrową, od polityków oczekiwano reprezentowania obywateli w sposób podobny do występów na boisku lub ringu, a możliwości interakcji czy zapoznania się z komentarzami ograniczone były do wąskiego grona medialnych figur. Relacje z debat przesiąknęły w efekcie językiem typowym dla sprawozdań z zawodów, w których roi się od ciosów i punktów służących wyłonieniu zwycięzcy.

Dziś, niemal 20 lat po powstaniu Facebooka, kibicowanie przed odbiornikiem jest dla obywateli coraz mniej atrakcyjne. Nie oznacza to, że mamy po prostu przenieść i dostosować stare formaty do nowych mediów. Potrzebne jest wymyślenie ich od nowa, z uwzględnieniem wieloplatformowości przekazów. Nie będzie to łatwym zadaniem. Zmiany przyzwyczajzeń względem sposobów komunikacji politycznej wymagają opracowania nowych metod, które pozwolą na zbudowanie przestrzeni wymiany i pogodzenia opinii uwzględniającej ich rozkład we współczesnym społeczeństwie. W kontekście kondycji mediów publicznych i odpowiedzialności naszej klasy politycznej, brak prawdziwej debaty w 2020 r. należy natomiast odczytywać nie jako niefortunną wpadkę, ale logiczną konsekwencję stanu polskiej kultury politycznej za rządów Prawa

i Sprawiedliwości. Naprawienie jej nie może jednak oznaczać powrotu do wcześniejszych standardów.

PRYZWYCZAJENI DO RÓWNI POCHYLEJ

Także przed 2020 r. polskie debaty wyborcze budziły kontrowersje dotyczące ich przebiegu oraz procedury przygotowań. Profesor Marek Czyżewski jeszcze w latach 90. opisywał metaforą „rytualnego chaosu” destruktywną społecznie bezużyteczność debat w znanej z mediów masowych formie wymuszającej mówienie do przychylnych odbiorców. Profesor Agnieszka Budzyńska specjalizująca się w zagadnieniach dotyczących retoryki podkreślała w 2015 r., że żaden z formatów stosowanych przez telewizję w III RP nie spełniał normatywnych wymagań i sugerowała oddanie ich organizacjom pozarządowym, a prof. Marek Kochan opisując ewolucję formatów „od święta demokracji do teleturnieju”, argumentował, że ich stopniową degenerację powodował wzajemny brak zaufania sztabów i współuczestników. Analizujące warstwę językową badania z ostatnich lat potwierdziły, że zarówno debaty jak i towarzyszące im relacje medialne skupiały się na cechach osobistych polityków i wzbudzających negatywne emocje wypowiedziach.

Jedynym dokumentem, którym muszą kierować się organizatorzy jest rozporządzenie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji z dnia 6 lipca 2011 r. w sprawie szczegółowych zasad i trybu przeprowadzania debat przez Telewizję Polską. Zajmuje ono jedną stronę i zawiera niewiele konkretów: oczywistości i ogólniki mówiące np. że „debata powinna trwać minimum 45 minut”, a „w przypadku dużej liczby kandydatów Telewizja powinna zapewnić odpowiednią liczbę debat”, co pozostawia producentom szerokie pole do interpretacji. Mimo to, Telewizji Polskiej udało się złamać nawet te wytyczne, kiedy w 2020 r. w Końskich włączono do udziału publiczność (wbrew jasnemu zapisowi w punkcie 5 paragrafu 5 rozporządzenia). Wobec organizatorów nie wyciągnięto żadnych konsekwencji, co stanowi tylko jeden z wielu powodów, dla których w ostatnich ośmiu latach TVP straciła jakąkolwiek legitymację do działań o charakterze ponadpartyjnym. Prowadząc działalność w stylu północnokoreańskim, jej pracownicy stali się uczestnikami sporu. Każdy odcinek „Wiadomości” potwierdza, że

zapisane w kodeksie wyborczym wartości takie jak pluralizm, bezstronność, wyważenie i niezależność są im całkowicie obce.

Medialni komentatorzy skupiali się na, często sprawiających wrażenie improwizowanych, rozwiązaniach technicznych (np. podejrzewając nierówne działanie zegara czy celowe ustawianie kamer w sposób optycznie obniżający wzrost). Kontrowersje wzbudzał także sposób zadawania pytań i dobór prowadzących – Michał Adamczyk przemyślał w nich narrację decydującą o jego wynagrodzeniu partii, a Jarosław Gugala pozwalał sobie na przydługie wstępy sprawiające wrażenie, jakby był jednym z kandydatów. Wielu debatom towarzyszyły także niejasne reguły interakcji czy przekraczania czasu. Generalnie, telewizyjne debaty wyglądały najczęściej tak, jak całe polskie życie polityczne – staroświecko i przaśnie. Obrazu tego dopełniały wystąpienia radykalnych i reprezentujących niszowe stronnictwa kandydatów, z których częścią oswoiliśmy się już niestety w ostatnich latach. Przerywały one nudę, ale po chwili rozbawienia pobudzały do gorzkiej refleksji: ci z największym poparciem nie świecili na ich tle szczególnie jasno: wygłaszali komunały i odmawiali mówienia na temat.

WYJŚCIE AWARYJNE

Jesteśmy zatem w klinczu. W optymalnym modelu debaty przedwyborcze powinny być emitowane przez TVP, ale powinny być planowane i przygotowane poza nią. Rozwiązaniem problemu mogłaby zająć się szeroka koalicja organizacji, które umówią się na utworzenie komisji debat przedwyborczych i pracę nad jej rozwojem niezależnie od wyniku najbliższych i kolejnych wyborów.

O tym, że jest to trudne, przypomina zakończona porażką kampania Zuzanny Rudzińskiej-Bluszcz na Rzeczniczkę Praw Obywatelskich. Szeroka koalicja z doskonale przygotowaną do pełnienia tej funkcji kandydatką była długo i bezczelnie lekceważona przez rządzących i ich obóz medialny – TVP próbowała jednostkowymi przypadkami nadużyć podważyć poparcie udzielone przez 1200 organizacji, a Robert Mazurek wolał rozmawiać z gośćmi RMF o potencjalnej kandydaturze Marka Jurka. Aby włożony w tę długą kampanię trud nie poszedł na marne, należy wyciągnąć z niej lekcje.

Utworzenie komisji może być jednak prostsze niż zbudowanie ponadpartyjnego poparcia wobec jednej osoby przez samą wielość wymaganych do jej funkcjonowania

ról. Praca nad konkretnymi rozwiązaniami w ramach skupionych na poszczególnych aspektach podgrup nie będzie wymagać od uczestników udawania całkowitej bezstronności. Aby komisja nie podzieliła losu Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, konieczne jest także zadbanie o rotacyjny charakter i wybieranie ekspertów przez organizacje pozarządowe, uczelnie i instytucje publiczne. Ich prace powinny mieć charakter otwarty i ciągły. Ponieważ liczba miejsc przy każdym, nawet okrągłym stole jest ograniczona, symbolem komisji powinna być raczej łącząca wszystkie kąty Polski kurpiowska wycinanka.

Podobne spisanie reguł przez Komisję Debat Prezydenckich stało się możliwe w USA w 1974 r. dzięki inicjatywie Ligi Głosujących Kobiet. Kto mógłby podjąć się dziś podobnego działania tak, aby nie zostało ono uznane za związane z jednym z obozów? W 1989 r. przy Okrągłym Stole podobną rolę mógł jeszcze pełnić Kościół katolicki. Dziś przejąć ją mogłaby sieć łącząca siły pozornie odległych od siebie organizacji deklarujących dbałość o (różnie rozumiany) wspólnotowy dialog, takich jak Polska Akademia Nauk, Polski Związek Działkowców, Kongres Kobiet i Polski Związek Piłki Nożnej. Układanka taka może wydawać się egzotyczna, ale właśnie w tak niecodziennym gronie możliwe byłoby wypracowanie powszechnie szanowanych zasad dyskusji i zbudowanie szerokiego poparcia społecznego dla działań. Niezbędne do wyjścia poza świat partyjnych przekazów i budowania konsensusu będzie zaproszenie już na początku do prac nad systemowymi rozwiązaniami kolejnych organizacji – dziesiątki zmęczonych jakością debaty publicznej ośrodków działa na rzecz jej poprawy w całym kraju poprzez projekty edukacyjne, badawcze i integracyjne. Na kolejnych etapach niezbędne będzie także sięgnięcie po merytoryczne wsparcie wszystkich typów mediów i partii politycznych. Rozpoczęcie nawet pilotażowych działań przez posiadający odpowiednie kompetencje ośrodek naukowy pomogłoby polskiej akademii pozbyć się latki towarzystwa oderwanego od życiowych problemów.

W KONKRECIE NADZIEJA

Komisja powinna odpowiedzieć na szereg pytań organizacyjnych. Ile debat organizować przed I i II turą? Czy dopuszczać do udziału wszystkich kandydatów? Jak skonstruować system wyboru wiodących tematów? Czy przed i po odbiorcom powinny

zostać przedstawione zweryfikowane dane lub komentarze ekspertów? Testy reakcji pozwoliłyby też na szczegółowe określenie formatu – czasu na wypowiedź, dopuszczalnych pytań i innych form interakcji, udziału publiczności. Dopracowania wymagałyby nawet scenografia – pamiętajmy, że w projektowaniu udanej debaty Wałęsa – Miodowicz z 1988 r. czynny udział wziął sam Andrzej Wajda, który zwracał uwagę na ustawienie kandydatów, foteli i zegara. W idealnym scenariuszu, prowadzenie najważniejszych debat byłoby honorem, ukoronowaniem dziennikarskiej kariery. Aby funkcja ta stanowiła cel aspiracji i troski o standardy dziennikarskie, wykluczone z prowadzenia najważniejszych debat powinny być z pewnością osoby karane przez Radę Etyki Mediów. Transmitowana wieloplatformowo debata przedwyborcza stanowiłaby wtedy wzór promieniujący na inne dyskusje, toczony często w mediach i w całej przestrzeni publicznej.

Komisja amerykańska doczekała się krytyki i obywatelskich alternatyw szukających wyjścia z logiki konfrontacyjnego *show*. Debaty we Francji prowadzone są w cyklach kilku wielogodzinnych rozmów toczonych na siedząco, zaś np. Dania dba szczególnie o przygotowanie dziennikarzy i odbiorców dzięki naciskowi na naukę argumentacji w powszechnej edukacji. Nie istnieje uniwersalny wzorzec możliwy do przeniesienia z jednego kraju do drugiego. Polsce potrzebne jest wypracowanie własnego formatu oraz procesu jego usprawniania uwzględniającego specyfikę naszego systemu medialnego, ustroju i tradycji partyjnych. W każdym systemie można podpatrzeć dobre praktyki z myślą, że docelowym stanem będzie eksport opracowanych nad Wisłą rozwiązań do młodszych demokracji.

Szanse powodzenia komisji zwiększają dwa czynniki: zmęczenie obecnym stanem i głód dyskusji. Narzekanie medialnych producentów, jakoby odbiorcy wybierali coraz krótsze, mniej ambitne formaty to raczej bezpieczne trwanie przy sprawdzonych modelach opartych o skandal i najprostszą rozrywkę. Widzimy przecież ogrom toczących się w nowych mediach dyskusji w formatach nigdy niespotykanych w telewizji. Skupione na konkretnych tematach podcasty przyciągają przecież rzesze odbiorców.

Nie jest też prawdą fatalistyczne ujęcie, w którym kultura dyskusji jest, zawsze była i musi pozostać na niskim poziomie. Nasze osiągnięcia na tym polu – z

konfederacją warszawską i Okrągłym Stołem na czele – są niepotrzebnie dezawuowane i traktowane jako wyjątki. Narzekanie może być konstruktywne, jeśli nie jest ostatnim, a pierwszym etapem troski. Dzięki temu wiemy, czego nie chcemy.

KONRAD KILJAN – ekspert w zakresie komunikacji politycznej i biznesowej. Badacz argumentacji oraz emocji w dyskusjach online we współpracy z Laboratorium Badań Medioznawczych, ComPathos, New Ethos Lab i Polską Akademią Nauk. Popularyzator debat, twórca krajowych i międzynarodowych programów edukacyjnych z Fundacją Polska Debatuje oraz International Debate Education Association. Doktorant medioznawstwa na Uniwersytecie Warszawskim, absolwent St. Andrews University.

JAROSŁAW GWIZDAK

KOGO TO OBCHODZI?

Praworządność, pomimo iż jest uniwersalną i ważną ideą, nie jest w stanie zjednoczyć polskiego społeczeństwa. Ona nas po prostu zupełnie nie interesuje.

Bardzo dobrze pamiętam lipiec 2017 r. Byłem wtedy jeszcze sędzią RP, orzekałem w sądzie rejonowym w Katowicach. Razem z tłumem obywateli stałem przed warszawską siedzibą Sądu Najwyższego. Trwał protest przeciwko zmianom w ustawach o Krajowej Radzie Sądownictwa, Sądzie Najwyższym i sądownictwie powszechnym. Zapłonął „łańcuch światła” utworzony z tysięcy świec.

PROLOG: „TO JEST NASZ SĄD”

Miałem wtedy wrażenie, że uczestniczę w pogrzebie. Niezwykle eleganckim, godnym, zmuszającym do namysłu, ale jednak pożegnaniu czegoś ważnego. Że (który to już raz?) my, prawnicy, zawiedliśmy społeczeństwo.

W busie, którym nocą wracałem na Śląsk, ekran mojego telefonu rozbłyskał co chwilę powiadomieniami. Znajomi (nie tylko) prawnicy przesyłali zdjęcia z protestów w ich miastach: Łodzi, Poznaniu czy Krakowie. Okazało się, że praworządność wyciągnęła ludzi na ulice. Stanęli przed sądami. Uznali, że rządy prawa są wartością, za którą warto się opowiedzieć. Do czasu masowych demonstracji przeciwko ustrojowej reformie w Izraelu, Polska była jedynym krajem, w którym zmiany w sądownictwie skutkowały masowymi, ulicznymi protestami.

W to, że praworządność może nas połączyć, wierzyłem dość długo. Postawię jednak tezę zupełnie odwrotną: ta jedna z kluczowych i fundamentalnych dla Unii Europejskiej wartości nie jest w stanie połączyć Polaków. Przeciwnie, na jej przykładzie widać kilka poziomów polaryzacji społeczeństwa, a nawet jednej grupy zawodowej: prawników.

TRAFNA DIAGNOZA

Jednym z haseł, z którymi szła do wyborów Zjednoczona Prawica była konieczność zreformowania wymiaru sprawiedliwości. „Dudapomoc” była z kolei jednym z motorów kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy. Chodziło głównie o to, aby wśród wielu przywracanych Polakom wartości była również sprawiedliwość. Sprawiedliwość rozumiana najczęściej jako prosty odwet, surowa i szybka kara, ale również taka, którą teoretycy określają mianem informacyjnej. Ta definicja kładzie duży nacisk na poinformowanie strony procesu o jej uprawnieniach, o treści rozstrzygnięcia i możliwych środkach zaskarżenia.

Obywatele sądów i wyroków po prostu nie rozumieli. Komunikacyjnie wymiar sprawiedliwości był wciąż najbardziej oddaloną od nich władzą. Kluczowym komunikatem był wyrok, a sędzia miał być wyłącznie „ustami ustawy”. W ten sposób, informację o działaniach wymiaru sprawiedliwości przekazywał zawsze ktoś inny: media, a przede wszystkim niezadowolona z rozstrzygnięcia obywatelka.

Bo zwykła Kowalska chciała zrozumiałych i prostych procedur, wyroku zasądającego alimenty na jej dzieci od partnera wydanego w rozsądnym terminie, możliwego do wykonania. Chciała również, aby wpis do księgi wieczystej odziedziczonego kawałka rodzinnej nieruchomości nastąpił po miesiącu, a nie po pół roku. Chciała mieć dostęp do akt sprawy w formie cyfrowej, bo na wizytę w sądowej czytelnicy po prostu nie ma czasu.

Polski wymiar sprawiedliwości wciąż źle pracuje. Trzecia władza pozostawała zaniedbana organizacyjnie i technologicznie, bazowała na przestarzałych procedurach. Podpis pod orzeczeniem nadal jest świętością, elektroniczna komunikacja z sądem jest raczej wyjątkiem niż regułą. Sędziowie, przytłoczeni setkami spraw do rozpoznania, uwikłani są również w tysiące czynności technicznych, których wciąż nie mogą delegować komuś innemu. Co ciekawe, ocena funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości przez tych, którym zdarzyło się przed nim stanąć jest wyższa niż osób, niemających z Temidą bezpośredniego kontaktu.

NIEZŁOMNI?

Czas na głównych bohaterów ostatniego okresu w prawniczej historii Polski – sędziów. Zaczniemy od chlubnych postaci w liczącej 10 tys., uprzywilejowanej i specyficznej grupie zawodowej. Nikt tak nie narażał się rządzącym jak niezawisli sędziowie i niezależni prokuratorzy. Przedstawiciele trzeciej władzy (*sensu largo*, prokuratorzy podlegają ministrowi sprawiedliwości, pełniącemu funkcję Prokuratora Generalnego), poza mediami stali się jedynymi krytycznymi recenzentami władz: wykonawczej i ustawodawczej.

Należy wciąż przypominać, że sędzia Wojciech Łączewski skazał ministrów biorących udział w aferze podsłuchowej – uruchamiając lawinę niespotykanych prawniczych interpretacji – od decyzji prezydenta Andrzeja Dudy (przecież prawnika) o „uwolnieniu sądów od problemu” po uchwały Sądu Najwyższego. Sprawa nadal nie została prawomocnie zakończona.

Inny warszawski sędzia – Igor Tuleya – uzasadniając jedną z procesowych decyzji poinformował opinię publiczną o tym, jak w Polsce robi się politykę, czyli o obradach w Sali Kolumnowej Sejmu. Rządzący uznali, że sędzia ujawnił tajemnicę państwową i zaczęło się polowanie na Tuleyę, łącznie z jego wielomiesięcznym zawieszeniem w czynnościach służbowych. Niewygodny dla władzy sędzia nie mógł orzekać. W Polsce, w Unii Europejskiej, w XXI wieku. Przypomnę: artykuł 2 traktatu o Unii Europejskiej jako jeden z jej fundamentów wymienia praworządność.

Jedną z twarzy oporu Sądu Najwyższego był sędzia Stanisław Zabłocki, praktykujący katolik, były adwokat. Mecenaz Zabłocki reprezentując rodzinę rotmistrza Witolda Pileckiego w procesie rehabilitacyjnym doprowadził do uniewinnienia bohatera. Bohatera również dla obecnie rządzących.

Poza sędziami, piszącymi chlubne karty dziejów, znaleźli się też tacy, którym z władzą było po drodze i do twarzy. Okazało się, że dla niektórych „jastrzębi” ze Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia” znalazły się intratne posady, a oni z oferty skorzystali. Sędziowie zasilili Ministerstwo Sprawiedliwości, zostali członkami nowej Krajowej Rady Sądownictwa, objęli posady rzeczników dyscyplinarnych. Warto przypomnieć: polskich sędziów jest około 10 tys. Do „Iustitii” należy ich 3600, co wcale

nie oznacza, że w pełni podzielają poglądy i wartości swoich znanych koleżanek i kolegów.

Władzę polityczną i reformy legitymizuje około 100 sędziów (członkowie KRS, rzecznicy dyscyplinarni, niektórzy prezesi sądów). Pozostaje ponad 6 tys. sędziów, którzy chcą przede wszystkim orzekać. Nie każdy z nich chce być jak Tuleya, Zabłocki czy... Maciej Nawacki – prominentny członek KRS, który wslawił się między innymi podarciem projektu uchwały zebrania sędziów. A żeby jeszcze skomplikować ten obraz: około 2500 sędziów i asesorów zostało powołanych na swoje stanowiska z udziałem nowej KRS, a zatem z poważnymi zastrzeżeniami, czy stanowią sąd ustanowiony zgodnie z przepisami.

Ta lamigłówka nie ma prostego rozwiązania. Gorzej, że chodzi o rozstrzygnięcie spraw obywateli. O tym, co robią polscy sędziowie napisano już i wciąż pisze się wiele. Nie tylko w Polsce. Na europejskich uczelniach powstają artykuły naukowe, prace magisterskie i doktoraty o sytuacji w polskim wymiarze sprawiedliwości. Naukowcy już wiedzą, że źle się dzieje w państwie polskim. Dostrzegają też pewną bezradność instytucji Unii Europejskiej wobec polskich i węgierskich „innovacji” ustrojowych.

Zwykłej Kowalskiej nie interesują heroiczne dokonania niezłomnych sędziów. W dodatku nie potrafi zrozumieć meandrów postępowań dyscyplinarnych (bo sama ma problem ze zrozumieniem wezwania z sądu), wrogiego przejęcia Trybunału Konstytucyjnego, czy przymusowych delegacji bezkompromisowych prokuratorów.

GDZIE TA POLARYZACJA?

Można stwierdzić, że w negatywnej ocenie wymiaru sprawiedliwości Polacy byli wyjątkowo jednomyślni (wspomniane badania CourtWatch, zawierające również wyniki badań zaufania do sądownictwa – przyp. Aut). Podział zaczyna się gdzie indziej – w poszukiwaniu przyczyny takiego stanu.

Od początku rządów Zjednoczonej Prawicy jako winnych obecnego stanu rzeczy wskazywano sędziów. Bezprecedensowa kampania społeczna „Sprawiedliwe sądy”, na którą rządzący wydali miliony piętnowała kastę, ukazując wybrane przykłady niegodnych sędziów.

Co ciekawe, kampanię prowadziła związana z rządem agencja, a sąd orzekł o niezgodności jej działań ze statutem. Poza sędziami – przestępcami w togach – jak opisywano ich w oficjalnej narracji, winni również byli sędziowie-komuniści. Poszukiwania komunistów w togach wymagały znacznie więcej trudu. Przeciętna polska sędzia (bo to urząd mocno sfeminizowany) miała w 2019 r. niecałe 47 lat, czyli nie tylko nie „łapała się” na składanie oświadczeń lustracyjnych, ale w chwili upadku komuny była w szkole średniej.

Należało zatem wzmóc starania, poszukując sędziów-komunistów w sądach wyższych instancji, gdzie z reguły zasiadają osoby starsze niż przeciętni orzecznicy. Po wnikliwej kwerendzie udało się odnaleźć kilku sędziów, którym można było przypisać hańbiące zachowania w okresie stanu wojennego. Ich procesy (przed sądami i sędziami oczywiście) wciąż trwają. Ale wciąż nie udaje się przekonać obywateli, że to właśnie niegodni togi w okresie stanu wojennego prawnicy odpowiadają za stan sądownictwa.

Tak się składa, że w procesach dyscyplinarnych sędziów bronią inni sędziowie oraz adwokaci. Niektórzy robią to, mimo że nie uznawali sądu dyscyplinarnego za sąd. Kolejny fragment polskiej prawniczej lamigłówki. Również w środowiskach adwokackich ocena reform sądownictwa nie jest jednoznaczna, dla części adwokatów właściwie nic się nie stało.

Prawnicy nie mogą więc dojść do porozumienia odnośnie znaczenia ostatnich reform sądownictwa i – szerzej – istoty praworządności. A co mają powiedzieć obywatele? Chyba najłatwiej im przyjąć narrację rządzących, że to wciąż „kłótnie w rodzinie” i że wszystkiemu winni sędziowie.

A PRAWORZĄDNOŚĆ?

Kulminacją protestów przeciwko reformie sądownictwa był Marsz Tysiąca Tóg w styczniu 2020 r. w Warszawie. Wtedy nie tylko obywatele, ale prawnicy – w strojach urzędowych – wyszli na ulice miasta. Towarzyszyli im sędziowie z całej Unii Europejskiej. Tej wspólnoty, która również zapomina o znaczeniu praworządności, starając się co jakiś czas sobie o niej przypomnieć. Niedawno wprowadzony mechanizm warunkowości jest tego najlepszym przykładem.

Ingerencja władzy politycznej w sposób wykonywania sądowniczej nie jest zresztą jedynie polską (i węgierską) specjalnością. Politycy starają się ograniczać niezależność sądów również w Słowenii, Portugalii, Rumunii, Czechach czy Włoszech. Lista nie jest pełna.

Niemal miesiąc po Marszu Tysiąca Tóg przez Warszawę przeszedł marsz poparcia dla reform. Zapewne gdyby nie pandemiczny *lockdown* takich demonstracji odbyłoby się jeszcze kilka – przeciw reformie, za jej postulatami, czy z zupełnie innym przekazem. W dodatku, obie manifestacje w intencji ich organizatorów zmierzały do identycznego rezultatu – lepszego i sprawiedliwego sądownictwa. Problem w tym, że rozumianego zupełnie inaczej.

Zgodnie z badaniami Fundacji Courtwatch równe części (30 proc.) Polaków popierają reformy sądownictwa, sprzeciwiają się nim i nie są tym w ogóle zainteresowane. Z badań CBOS wynika, że w 2020 r. kontynuacji reformy sądownictwa chcieli 2 proc. społeczeństwa, a wycofania się z reform – 1 proc. Te zagadnienia nie interesowały 97 proc. Polaków.

Bez gwarancji niezależnego sądownictwa zgodnego nie tylko z unijnym traktatem, ale kształtowanym od dekad orzecznictwem TSUE, Polska nie tylko nie będzie się liczyć w unijnym klubie, ale sama będzie się z niego wykluczać.

Od 24 lutego 2022 r. stosowanie militarnych porównań wydaje mi się niestosowne, ale chciałbym sparafrazować zdanie Georges'a Clemenceau o wojnie: „praworządność jest zbyt poważną sprawą, by powierzyć ją prawnikom”. To sprawa każdego z nas. Tak niewiele przecież trzeba, żeby nas połączyła. W dodatku, prawnicy – zwłaszcza sędziowie są wciąż dłużnikami społecznego poparcia. Może nadszedł czas zapłaty tego zobowiązania?

JAROSŁAW GWIZDAK – prawnik, członek zarządu Instytutu Prawa i Społeczeństwa w Warszawie. Nauczyciel akademicki, felietonista „Rzeczpospolitej”. Ekspert ds. praworządności w międzynarodowych programach w Ukrainie i Gruzji.

DOMINIKA RAFALSKA

INFORMACJA

CZY INFOTAINMENT?

Politycy rozumieją, że wiecze, billboardy, reklamy czy telewizja nie wystarczą, aby dotrzeć do coraz młodszych pokoleń wyborców. Pomagają im w tym nowe media społecznościowe. „Instagram i Tik Tok odgrywają coraz bardziej doniosłą rolę w marketingu politycznym” – mówi **Mateusz Sabat**, ekspert w dziedzinie strategii komunikacyjnych.

Dominika Rafalska: Co politycy mogą „ugrać” na Instagramie czy Tik Toku?

Mateusz Sabat: Przede wszystkim zyskują bezpośredni dostęp do wyborców. Prasa, radio czy telewizja prezentując treści polityczne stosowały filtry: tworzyli je dziennikarze komentując czy ukazując polityków w określony sposób. W przypadku mediów społecznościowych mówimy o bezpośredniej komunikacji.

Tik Tok i Instagram są w obecnej kampanii wyborczej bardzo popularne. W zasadzie możemy mówić o procesie *tiktokizacji* platform społecznościowych. Format krótkich filmów wideo: 40–60-sekundowych, przygotowany i opatentowany przez Tik Toka, okazał się bardzo skuteczny i inne platformy zaczęły go kopiować. Instagram zastosował to rozwiązanie w formacie *reels* i w zasadzie zmienił swoją formułę. Dzisiaj to portal oparty o materiały wideo. Podobnie YouTube, który wprowadził funkcję *shorts*. Facebook czy X również znają już to rozwiązanie.

Niezależnie od sympatii politycznych, oglądając te materiały można odnieść jednak wrażenie, że jest w nich sporo demagogii a niewiele rzetelnej informacji... W ogóle mało tam treści...

To rzeczywiście raczej *infotainment*. Użytkownicy Tik Toka czy Instagrama są raczej młodzi i, jeśli w ogóle korzystają z telewizji, to raczej w ramach *multiscreeningu*, czyli oglądają coś „w tle”. Co więcej badania Pew Research Center pokazują, że w 2022 r. 33 proc. użytkowników amerykańskiego Tik Toka traktowało go jako źródło informacji o bieżących wydarzeniach (w 2020 r. – tylko 20 proc.). To jedyna platforma społecznościowa, która zanotowała wzrost w tej kategorii. Większość odnotowała spadek, podobnie jak media klasyczne. Dodatkowo w najmłodszej grupie wiekowej (18–29 lat), 26 proc. użytkowników traktowało Tik Tok jako źródło codziennej informacji. To jest rewolucja!

To dobrze?

Dla polityków tak. To szansa dla tych, którzy sprawnie poruszają się w krótkich formach wideo: niezależnie od tego, czy dlatego, że mają ciekawe pomysły czy są populistami... Czy to dobrze dla odbiorców? To zależy, czy dają sobą manipulować politykom, czy są na to odporni.

A dla demokracji? Mówi Pan, że dla wielu młodych wyborców krótki film na Tik Toku to dziś podstawowe a może jedyne źródło informacji, ale chyba trudno uznać te krótkie filmy za ważne głosy w debacie politycznej?

Tak, ale z drugiej strony dzięki tej różnorodności, dziś każdy może znaleźć w Internecie poglądy, z którymi będzie się identyfikował. Nie wszystkie muszą nam się podobać, ale politykom łatwiej przez nowe media obsługiwać pewne nisze wyborcze. Dobrym przykładem jest Grzegorz Braun czy, z drugiej strony, Magdalena Biejat... Co jest lepsze: to czy np. dyktat telewizji w latach 90.? Wydaje mi się, że w sensie reprezentatywności dzisiejszy model jest lepszy. Chociaż faktycznie, jeśli chodzi o głębię przekazu, jakość debaty, może być różnie. Ale z drugiej strony, przecież obok tych krótkich form, w Internecie są inne popularne formaty.

Dość spojrzeć na, bardzo sprawnie poruszającego się w nowych mediach, Sławomira Mentzena z Konfederacji. Obok krótkich nagrań na Tik Toku, proponuje on też wyborcom pogłębione formy, np. kilkudziesięciminutowe podcasty na

YouTube. Znow – można nie zgadzać się z prezentowanymi tam poglądami, ale warto zauważyć, że krótki przekaz na Tik Toku to niejedyny rodzaj aktywności polityków w mediach społecznościowych i ta popularna opinia o spłaszczeniu dyskusji jest przesadzona.

Czy Pana jako analityka mediów nie razi jednak manipulacyjny przekaz wielu tych filmów?

W porównaniu z klasycznymi mediami, nie widzę tu dużej różnicy w chwytach retorycznych czy w dyskusji. Zresztą na Tik Toku czy na Instagramie także mamy mechanizmy kontroli. Wypowiedzi polityków nie komentują co prawda dziennikarze, ale robią to sami odbiorcy. Ciężko na taką skalę i przy takich zasięgach manipulować i nie być z tego rozliczonym.

Drugim mechanizmem kontrolnym jest konkurencja pomiędzy samymi twórcami tych krótkich form – ktoś manipuluje, ale ktoś to zaraz sprostuje. Przykładem jest niedawna kampania Ryszarda Petru wymierzona w Konfederację, która pokazywała że poszczególne postulaty tej partii wcale nie są liberalne.

Czy nowe media jedynie uzupełniają czy też zastąpią tradycyjne?

Podczas kampanii wyborczej w 2019 r. Polacy spędzali średnio 3,5 godz. dziennie na smartfonach. Teraz jest to ponad 5 godz. każdego dnia. Dodatkowo badania pokazują, że użytkownik Tik Toka średnio spędza tam 131 minut dziennie. To spora część wolnego czasu i to musi odbywać się jakimś kosztem. Ale nie jestem zwolennikiem wieszczenia śmierci „starych mediów”. Gdy pojawiła się telewizja, mówiono o końcu radia, a ono nadal istnieje i dzięki internetowi i podcastom przeżywa renesans.

Niewątpliwie nowe media stały się poważnym graczem i politycy zaczęli je dostrzegać. Rozmawiamy w momencie, gdy Jarosław Kaczyński zadebiutował w krótkim wideo, w którym zapowiedział pierwsze pytanie referendalne. W kolejnych trzech „tik tokach” mają paść kolejne pytania. To krótkie wideo od razu wywołało dyskusję, bo pytanie jest kontrowersyjne, a znaczenie Kaczyńskiego na tyle duże, że to co powiedział w tym krótkim materiale ma swoją wagę polityczną.

Zresztą debata polityczna też przenosi się na Tik Toka. Od wielu tygodni obserwujemy wyścig między dwiema głównymi partiami, które w krótkich filmach prześcigają się argumentami, oskarżeniami, a czasem po prostu kampanią negatywną

wobec przeciwnika. Aktywność na Tik Toku, staje się faktem politycznym i cytują to „klasyczne media”.

Czy Pana zdaniem, w tych filmach widać więcej promocji własnego programu czy raczej próby oczernienia przeciwników?

Sama forma nie definiuje treści. Ta wynika ze strategii politycznej. Wielu polityków stara się budować przekaz na merytoryce. Mentzen na przykład mówi głównie o gospodarce, komentuje bieżące wydarzenia, udziela porad przedsiębiorcom. I to jest właśnie jego bardzo przemyślana strategia.

Innym przykładem jest Ryszard Petru, który komentuje tematy ekonomiczne, pomysły Konfederacji, PiS-u. W tych filmach także nie widać ataków personalnych, a raczej wymianę argumentów i właśnie *infotainment*, pokazywanie jakiegoś zjawiska w atrakcyjny sposób i dodawanie do tego komentarza eksperckiego.

Badania medialne z 2021 r. (Agencja Grayling) wykazały, że polscy politycy na tle Europy wykazują się większą aktywnością w mediach pod względem średniej liczby opublikowanych postów na osobę. Dlaczego?

W Polsce jest wysoka temperatura sporu a obecna kampania jest chyba jedną z najgorętszych w historii. Dlatego ta wysoka aktywność jest uzasadniona. Ale wydaje mi się, że porównując Polskę np. do USA, narzędzia internetowe wykorzystywane przez polskich polityków nie są tak zaawansowane jakby mogły być.

Na pewno to nie jest ta skala, ale na pojedynczych odcinkach niektórzy polscy politycy dobrze sobie radzą. Wspomniany Mentzen bardzo dobrze zbudował swoją strategię w oparciu o krótkie materiały wideo. Pamiętajmy, że Konfederację wykluczono z Facebooka. Poza tym, gdy zaczynała na poważnie działać z krótkimi formami wideo miała koło 5–6 proc. poparcia i jej przedstawiciele nie zapraszano do mediów *mainstreamowych*. To spowodowało, że konsekwentnie postawili na rozwój alternatywnych kanałów komunikacji.

Z kolei jeśli spojrzymy na budowanie dużych społeczności w Internecie i przez Internet, to tutaj jednym z najlepszych przykładów jest Szymon Hołownia, który do polityki wszedł bez zaplecza, jednoosobowo. Dzięki wykorzystaniu różnych narzędzi internetowych udało mu się stworzyć dużą bazę sympatyków którzy zbudowali struktury ruchu Polska 2050, wolontariuszy, którzy wspierali akcje społeczne i

polityczne, wreszcie darczyńców. Ten ruch w większości finansowany jest oddolnie. W budowaniu zaangażowanej społeczności sympatyków przez Internet to największy dotąd projekt w Polsce.

Jeśli z kolei popatrzymy na płatne reklamy, to tutaj bardzo mocna jest prawica. Dość wspomnieć strategię Andrzeja Dudy w kampanii prezydenckiej. Przez 5 lat swojej prezydentury dotarł do każdego powiatu w Polsce. Zrobił to jako pierwszy prezydent. Miał z tych wydarzeń zdjęcia i później realizował akcje kampanii płatnych w Internecie: każdy powiat miał swoją kreację z Andrzejem Dudą. Taka ogólnopolska kampania została poszatkowana na ics kontekstów lokalnych i to też miało wpływ na mobilizację jego wyborców w tych okręgach. Także w obecnej kampanii parlamentarnej na You Tube i w Google PiS prowadzi kampanię celowaną na poszczególne powiaty.

Dzięki czemu przekaz polityczny w mediach społecznościowych jest skuteczny? Chodzi o emocje? Wiarygodność? Aktualność?

Najważniejsze są dwie rzeczy: strategia i konsekwencja. Polityk nie powinien mówić „o wszystkim” zarówno z powodów merytorycznych, jak i technicznych, dopasowania się do algorytmu. Należy się sprofilować. Polityk który wie, po co jest w polityce i walczy o trzy konkretne sprawy o wiele szybciej odniesie sukces na Tik Toku niż ten, który nie wie, czego chce lub zajmuje się „wszystkim”.

A druga sprawa to konsekwencja. Znowu powraca przykład Konfederacji. Filmy Mentzena nie są wyrafinowane, nie ma w nich jakiejś wizji Polski, reform, to nie jest Leszek Balcerowicz 2.0, a raczej proste slogany, ale jedną z przyczyn dla których to dobrze działa jest konsekwencja. Algorytm jest tak wyćwiczony, że skuteczność jest większa jeśli ktoś trzyma się jednej narracji. Ona przekłada się na „wiedzę algorytmu”, a jeśli ten dobrze sprofiluje polityka w popularnych tematach, to ma on wtedy większe szanse na sukces.

Mentzen jest skuteczny w mediach społecznościowych, bo konsekwentnie mówi w nich o gospodarce i unika tematów kontrowersyjnych, charakterystycznych dla Konfederacji. Ta strategia trafia np. do przedsiębiorców, uderza w autentyczną emocję społeczną.

Jaka?

Często politycy odwołują się do „przedsiębiorców”, mówią, że będą o nich dbać, ale ta grupa jest bardzo niejednorodna: są przecież *freelancerzy*, samozatrudnieni, *start-upy*, właściciele małych firm bez potencjału rozwoju, średni przedsiębiorcy, którzy mają zupełnie inne problemy niż duzi. To bardzo zróżnicowana grupa, ale przez ostatnie trzy lata, niezależnie od skali biznesu, polscy przedsiębiorcy mają pewną wspólnotę przebytej drogi. Przechodzili covid, *lockdowny*, problemy z urzędami, zawieszonym ZUS-em, dotacjami, które można było przyjąć, ale później trzeba było zwrócić...

Na styku państwa i przedsiębiorstw pojawiło się wiele sytuacji konfliktowych i to zostało jeszcze pogłębione inflacją, rosnącymi cenami energii, które w część przedsiębiorców mocno uderzyły i zwiększyły niepewność. To wszystko rozgrywało się w kontekście rewolucji technologicznej. Także w zakresie marketingu, świat przed pandemią wyglądał zupełnie inaczej. Wszystkie firmy niezależnie od skali musiały się przestawić. Dlatego w tym zróżnicowanym środowisku wytworzyła się pewna wspólnota drogi, problemów, z którymi wszyscy przedsiębiorcy się zmierzyli. I tu wstrzeliła się Konfederacja: to, co komunikują trafia w realną emocję.

A co z Donaldem Tuskiem? Jak Pana zdaniem on radzi sobie na Instagramie i Tik Toku?

Uważam, że świetnie się stało, że pojawił się tam. Dla większości odbiorców z młodszych grup wiekowych, on jest świeżym politykiem. Nie znali go, nie pamiętają czasów kiedy rządził, nie oglądają telewizji – jakiegokolwiek włącznie z publiczną gdzie jest regularny hejt na Tuska. Więc dla nich to jest ktoś nowy, jedna z kart na stole i jeśli jest sprawny komunikacyjnie, dobrze wypada i ma fajne pomysły, to też jest interesujący. Teraz Tik Tok Tuska trochę mocniej poszedł w atakowanie PiS i mniej się tam ostatnio pojawiało rzeczy wizerunkowych, ale pamiętam że jednym z lepszych materiałów na jego koncie był ten gdzie polecał piosenkę Sanah...

Co się kryje w tym przekazie? Że Tusk jest „młodzieżowy”, „na luzie”?

Myszę, że taka tu była intencja, poza tym Tik Tok wychodził od promowania muzyki, a wykorzystanie piosenek „trendujących” sprawia że można zyskać popularność takiego wideo.

Wiek nie ma tu zresztą decydującego znaczenia. Jedną z najlepiej radzących sobie w mediach społecznościowych polityczek jest przecież Wanda Nowicka ze starszej generacji lewicy. Ponieważ jednak zajmuje się edukacją, szkołami, prawami uczniów i kobiet, to bardzo dobrze trafia poprzez te media do młodych odbiorców. Często słyszę od naszych klientów, że ich dzieci mówią, że najlepszym politykiem w Polsce jest Wanda Nowicka. Znają ją z Tik Toka. Innych kanałów już nie śledzą.

MATEUSZ SABAT – doradca, strateg. Od kilkunastu lat pracuje z osobami publicznymi pomagając im budować wizerunek i rozwijać organizacje. Zajmuje się marketingiem internetowym. Miał bezpośredni udział w sukcesach trzech największych kampanii *crowdfundingowych* w historii polskiej polityki. Prowadzi agencję marketingu internetowego Big Data 4 Leaders i działalność doradczą w zakresie strategii, *public affairs* oraz *fundraisingu*.

DOMINIKA RAFALSKA – doktor nauk humanistycznych, dziennikarka, redaktorka, pracownica naukowa Uniwersytetu Gdańskiego, sekretarz redakcji „Res Publici Nowej”.

AGNIESZKA HOMAŃSKA

MILCZENIE WYBORCY NIE JEST ZŁOTEM

Dlaczego frekwencja wyborcza w Polsce niemal nigdy nie przekracza 60 proc.? Od pierwszych, częściowo wolnych wyborów w 1989 r. zdarzyło się to tylko 6 razy (na 29 elekcji) i to przede wszystkim w wyborach prezydenckich. Polacy na wybory chadzają. To oznaka niewydolności rodzimych instytucji demokratycznych czy raczej określona postawa społeczeństwa?

Chociaż przez ostatnie 20 lat w Polsce można zauważyć wzrost frekwencji we wszystkich rodzajach wyborów, wyborcy inaczej rozumieją znaczenie tych lokalnych, inaczej europejskich, a jeszcze inaczej prezydenckich czy parlamentarnych. Każda z tych elekcji legitymizuje inną kategorię władzy, jedna bardziej widoczną, tutejszą, inna bardziej odległą. Podczas jednej wybieramy *de facto* partię, podczas innej – osobę. Jak w codziennym życiu – to, co jest podmiotem wyborów, wpływa na zachowania ludzkie. Im jest to nam bliższe, im bardziej bezpośrednio nas dotyka, tym bardziej jesteśmy tym zainteresowani. Profesor Jarosław Flis, socjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, wskazuje na cztery grupy wyborców: lokalni (głosujący tylko w wyborach samorządowych), sejmowi (parlamentarnych), totalni (wszystkich) oraz zupełnie niegłosujący.

IDĘ ALBO NIE IDĘ

Skupmy się jednak na tych ostatnich. To około 40 proc. uprawnionych do głosowania – 11,5 mln Polek i Polaków, czyli dla porównania, cała populacja Belgii. Przyczyny absencji są bardzo zróżnicowane, możemy wyróżnić wśród nich niezawinione i intencjonalne. Należy jednak zacząć od zaznaczenia, że – jak podkreśla prof. Flis – w polityce Polacy dokonują zmiany poprzez niepójście na wybory. Jeśli czują się zawiedzeni, wolą odczekać jedno głosowanie z nadzieją, że w kolejnych będą mieli

gdzie postawić krzyżyk a zmiana dokona się rękami (długopisami?) innych obywateli i obywaterek.

Prof. Flis zaznacza, iż „cechą charakterystyczną Polski jest znaczna zależność udziału w wyborach od czynników o charakterze chwilowym. Zmiany frekwencji są bardzo głębokie, ale krótkotrwałe – nawet jeśli pozostawiają po sobie ślad i można w nich dostrzec powtarzające się wzory wynikające z historycznych doświadczeń czy zmian statusu społecznego. Zaangażowanie Polaków w wybory może znacząco wzrastać, lecz może też spadać”.

Niewielki procent z niegłosujących (2–8 proc. wszystkich wyborców) stanowią osoby, które z powodów losowych nie mogą zagłosować. Zdarza się też, że część z rozędu idzie na wybory następujące zaraz po sobie. Prof. Flis jako przykład podaje lata 2018 i 2019, gdy wybory samorządowe potraktowano jako rozgrzewkę przed parlamentarnymi. Cztery lata później ta logika koresponduje z decyzją partii rządzącej o przełożeniu wyborów samorządowych z jesieni 2023 na wiosnę 2024. Obawa? Zbyt duża mobilizacja wyborców drugiej strony lub demobilizacja swoich.

BIERNY BUNT CZY ŚWIADOMA BIERNOŚĆ?

Niepójście na wybory wiąże się z cichym przyzwoleniem, lub nawet delegitymizacją władzy, i tym samym zgodą na bycie biernym elementem zmiany politycznej. Prof. Flis wskazuje, że polskie podejście można scharakteryzować następująco: widzę, że leży na stole pewna opcja. Jest to pewien wzór zachowania, po który można sięgnąć i on jest atrakcyjny w tym sensie, że jest (do pewnego stopnia) społecznie akceptowany. Prawo do zrezygnowania z wyborów jest także jakimś prawem. Gdyby zatem spytać niegłosujących, czy daliby sobie je odebrać (choć z niego nie korzystają), znakomita większość z nich odpowiedziałaby, że nie.

Absencja wyborcza to także – w niektórych środowiskach – scheda po czasach PRL-u. Bojkot wyborczy pojawił się w Polsce w latach 80. Do tego czasu frekwencja była, jak na kraj niedemokratyczny przystało, właściwie stuprocentowa. Jednakże w ostatnich wyborach w PRL w 1985 r. oficjalnie wynosiła ok. 70 proc., co na kraj o ówczesnym ustroju zdawało się nie do pomyślenia (dla porównania w ostatnich niedemokratycznych wyborach czechosłowackich w 1986 r. było to 99,39 proc.).

Bojkot czy też wycofanie się z życia publicznego pozostało atrakcyjną formą zachowania obywatelskiego. A spuścizna PRL transmituje się w rodzinach: wzorce zachowań wynosimy ze środowisk, z których pochodzimy. Zainteresowanie czy też (de)mobilizacja uprawiana poprzez nawet jednego członka rodziny stale, czy to przy rodzinnym stole, czy też okresowo w momencie wyborów, może wpłynąć na postawy innych.

ROLA SYSTEMU

Pamiętajmy też, że Polska w 1989 r. nie przeszła rewolucji a ewolucję. Zmiany zachodzące w kraju nie zostawiły przestrzeni na to, żeby to, co było skuteczne w systemie niedemokratycznym, w całości wyeliminować – ewolucyjne zmiany ustrojowe i społeczne nie zachodziły równomiernie i nie wszędzie przynosiły takie same rezultaty. Wiąże się to z poczuciem braku sprawczości oraz zubożeniem wobec polityki skorelowanym – na terenach wiejskich blisko 60 proc. nie interesuje się polityką, a jedynie ok. 5 proc. czuje, że ma w tej sferze wpływ. Można zauważyć także zależność, że im dalej od miast, tym niższa frekwencja. W wyborach parlamentarnych z 2019 r. (z danych PKW frekwencja w miastach wyniosła ok. 63 proc. na wsiach zaś 55 proc.). Wspomniane wyżej ewolucyjne przemiany nie pozwoliłyby bowiem na wykształcenie się w pełni świadomego i zaangażowanego społeczeństwa wiejskiego. Prof. Mikołaj Cześniak, socjolog i politolog z Uniwersytetu SWPS podkreśla jednak także, że w naszym regionie spośród krajów z podobną drogą przemian, Polska niechlubnie się wyróżnia. W Słowacji, Słowenii, na Łotwie czy Estonii w wyborach parlamentarnych głosuje średnio niewiele poniżej 70 proc.

MIEJSCE W ŚWIECIE

Do urn nie idą Polki i Polacy, którzy swój status, czyli też miejsce i znaczenie w świecie, określają jako niski – z niewielką szansą wpływu, niskim poczuciem wartości. Wiąże się to nie tylko z kwestią dochodów czy edukacji, ale przede wszystkim jednostkowego poczucia wartości: jeśli nie czuję się ważny/a, po co mam się wypowiadać? W tym miejscu niezwykle istotną rolę odgrywa przynależność do wspólnot: tak lokalnych, jak i religijnych. Regularność spotkań, dyskusji, przekonywania o istocie działania jednostki, czyli dyskurs wspólnotowy sprawia, że potencjalny wyborca

postrzega siebie jako osobę sprawczą, a zatem potrzebną w systemie. Ma to także wpływ na partycypację wyborczą młodych – jeśli dorastamy w przekonaniu o byciu nie tylko przedmiotem, ale i podmiotem, chcemy być aktywni. Wierzymy, że mamy wpływ na otaczający nas świat, jesteśmy słuchani. W 2023 r. mamy 1 422 275 nowych wyborców (co stanowi ok. 5 proc. wszystkich uprawnionych do głosowania). Od ostatnich wyborów parlamentarnych zmarło około 1,5 mln – 2 mln uprawnionych wyborców. Chęć pójścia do urn deklaruje ok. 60 proc. młodych, co dementuje zacementowany frazes, że młodzi nie głosują. Oczywiście, rzeczywista frekwencja wśród najmłodszych (18–29 lat) pozostawia wciąż wiele do życzenia, oscyluje bowiem średnio w okolicach 47 proc., ale z pewnością nie można powiedzieć, że wynik ten jest dramatycznie inny wśród innych grup wiekowych. W wyborach parlamentarnych w 2019 r. frekwencja wśród osób powyżej 30 roku życia wyniosła średnio ok. 60 proc. Warto też zauważyć, że sposób postępowania młodych w społeczeństwie związany z zachowaniami starszego pokolenia, tego które ich wychowało, pokolenia, które krajem rządzi.

KULTURA POLITYCZNA A KULTURA WYBORCZA

Kolejnym czynnikiem wpływającym na niegłosujących jest kultura polityczna oraz związana z nią polaryzacja. Oba te elementy życia społecznego wpływają na nastrój wyborców i poczucie wspomnianego wyżej statusu jednostki. Dyskurs w przestrzeni publicznej oparty o niską kulturę polityczną sprawia, że społeczeństwo czuje przesyty emocjami. Przewagę w debacie uzyskują zatem, nazwane tak przez prof. Flisa, *homo affectus*, osoby oszczędne poznawczo a szczodre emocjonalnie. Urszula Panicz w *Refleksjach* dobitnie określa tę relację: „Można zatem sądzić, że tak długo, jak kultura polityczna w Polsce nie osiągnie wyższego poziomu, tak długo niektórzy obywatele będą stronić od udziału w głosowaniu. Co więcej, utrzymująca się niska kultura polityków może dodatkowo powodować odpływ wyborców, a tym samym zwiększać poziom absencji wyborczej, prowadząc nawet do »cichej« delegitymizacji systemu”.

Polaryzacja z kolei ma wpływ na udział w wyborach w określonym kontekście, miejscu i czasie. Może ona męczyć i zniechęcać, ale może też mobilizować. Z jednej strony wyborca czuje, że idąc do urny musi wybrać mniejsze zło a nie większe dobro. Z drugiej, polscy politycy nie grają już na podział lewica – prawica a poruszają się w

kategoriach dobro – zło. Przekonanie, że jesteś po dobrej stronie mocy pozwala mobilizować do działania, głosowania. Oczywiście istotny jest poziom polaryzacji, ale chociaż jest ona dziś bardzo widoczna, jej poziom w Polsce jest najniższy od 16 lat (uwzględniając lipcowe sondaże). Analizując dane, od połowy lata do wyborów mamy do czynienia z depolaryzacją, podczas której zyskują partie spoza układu PiS–PO. Wiąże się to z pękaniem baniek, w których na tygodnie przed głosowaniem tworzone były różne narracje i obozy, wzrostem zainteresowania wyborami i rozpoczęcia kampanii wyborczych.

A GDYBY USANKCJONOWAĆ?

Czy dobrym pomysłem na zmobilizowanie niegłosujących byłoby wprowadzenie nakazu głosowania sankcjonowanego, chociażby grzywną na kształt regulacji we wspomnianej już Belgii czy Luksemburgu? To kontrowersyjne jak na polskie warunki rozwiązanie zdaje się nie mieć sensu... chyba że założonym celem byłyby jedynie wyższe liczby określające frekwencję. Po pierwsze wymagałoby to porozumienia na poziomie elit, o które teraz bardzo trudno. Po drugie, zapewne wśród tych, którzy na wyborach „bywają”, czy nigdy nie chodzą na nie, wywołałoby to maksymalnie demobilizujący efekt buntu. Stawiając na ilość, a nie jakość, obowiązkowa partycypacja wyborcza poza wzbudzeniem niezadowolenia w Polakach i Polkach, którzy z założenia nie lubią jak coś im się narzuca, nie przyczyniłaby się do poprawienia jakości demokracji.

Ze sztucznie podniesioną frekwencją wiąże się jeszcze jedna kwestia – sam wynik wyborów. Oczywiście, podczas każdych partyjnie organizowanych akcji profrekwencyjnych określone ugrupowanie namawia do zagłosowania, przekonując, że to właśnie w niegłosujących drzemie ogromny potencjał do przejęcia władzy. Czy zatem wyniki wyborów mogłyby być jednak zupełnie inne niż te, które znamy?! Prof. Cześnik wskazuje, że nawet gdyby udało się podnieść frekwencję pewnie do 85, a może nawet 90 proc., ostateczny wynik nie zmieniłby się ani o jotę.

W polskich realiach liczy się bardziej to, która partia lepiej zmobilizuje swoją grupę wśród niegłosujących. I wreszcie socjologowie wskazują jeszcze jedną ważną kwestię: ludzie głosują, gdy się ich o to poprosi. Jeśli czują, że to wychodzi z nich albo czemuś służy. A nie, gdy czują przymus.

*

Wolne wybory są jednym z podstawowych elementów systemu demokratycznego. Robert Dahl w pracy *Demokracja i jej krytycy* wskazał zależność pomiędzy tymi dwoma zagadnieniami, stwierdzając, że demokracja to przede wszystkim bezpośredni udział obywateli. Czyli albo jest tworzona przez *demos*, albo wcale jej nie ma. Zmęczeni polityką są raczej śledzący ją na bieżąco, a nie niegłosujący. Wyborca obojętny wybiera absencję, podobnie jak rozczarowany. Tej postawy nie rozumie wyborca zaangażowany. Te grupy można scharakteryzować, dzieląc je również między preferowane tematy czy frakcje. Odpowiedzi na pytanie, kim są niegłosujący Polacy należy szukać w systemie, historii i sparaliżowanych obecnie instytucjach. Politycy zaś dalej będą grać na (de)mobilizację.

AGNIESZKA HOMAŃSKA – pracuje w Visegrad Insight. *Researcherka* na Uniwersytecie Warszawskim. Ukończyła z wyróżnieniem lingwistykę stosowaną, studentka V roku stosunków międzynarodowych. Stypendystka Fundacji Konrada Adenauera, poliglotka.

PIOTR GÓRSKI

ZWYKŁA NIENAWIŚĆ

Czy w przyszłości będziemy żywić się nienawiścią, czy też pojawi się w nas nietolerancja na nią, która nakłoni nas do zmiany przyzwyczajeń „żywieniowych”?

Po Polsce krąży widmo nienawiści. Czasem rzeczywistej, czasem urojonej, niekiedy wyrażającej się słowami, innym razem konkretnymi działaniami. Mamy z nią do czynienia w polityce, życiu społecznym, a także w życiu prywatnym.

Trudno uznać je za polskie wynaturzenie, ale słabym pocieszeniem jest, że w każdym czasie, dawniej może nawet bardziej, mieliśmy do czynienia z nienawiścią, że jest ona nieusuwalnym elementem natury ludzkiej, że tkwi w każdym z nas. Nawet jeśli tak jest, to mamy dowody na to, że potrafimy ją poskramiać. Może, tak jak wszystkie ludzkie wady i zalety, stany pożądane i niepożądane, nienawiść nie jest nam dana po równo i nie każdy robi z nią to samo – dla jednych może być ona impulsem do pracy nad sobą, dla innych powodem do zadowolenia, czy wręcz motorem działania.

Równie marnym pocieszeniem jest to, że mamy z nią do czynienia także w innych krajach. Zawsze lepiej zaczynać od siebie i od tego, na co ma się rzeczywisty wpływ. W naszym przypadku oznacza to więc podejmowanie działań na poziomie Polski, ale i Unii Europejskiej. A obszarów związanych z nienawiścią jest dużo – poczynając od kultury osobistej każdego z nas, a kończąc na regulacjach prawnych, np. dotyczących mowy nienawiści w serwisach społecznościowych.

W POLITYCE

Od pierwszych lat III RP temat nienawiści naznaczał polską politykę. Może był to wynik nadmiernego jej umoralnienia, będącego, jak się wydaje, spadkiem po

poprzednim ustroju. Język moralności był wówczas skutecznym narzędziem politycznym. To, co jednak przyniosło pożądaną efekt w walce z niedemokratycznym systemem, w warunkach demokracji bywa obciążeniem, może nawet szkodzić. Bo gdy nasz oponent polityczny nie ma innej wizji tego, jak powinno wyglądać państwo i społeczeństwo, nie jest reprezentantem odmiennych interesów, a uznawany jest za radykalne zło, to moralnym zadaniem jest go zniszczyć. Przy okazji budzą się pokłady nienawiści.

Z początku lat 90. w społecznej pamięci – przynajmniej pamięci tych, którzy interesują się polityką – zapisały się dwa cytaty odnoszące się bezpośrednio do nienawiści. Jeden to aforyzm Tadeusza Mazowieckiego. Pierwszy premier III RP mawiał: „Można się różnić, można się spierać. Ale nie wolno się nienawidzić”. Drugi cytat autorstwa Jacka Kuronia został uwieczniony w filmie *Nocna zmiana*. Mówiąc o Antonim Macierewiczu i zmarłym na początku tego roku Janie Olszewskim, Kuroń oświadczył: „Oni nie są niczymi agentami, oni są po prostu chorzy, chorzy z nienawiści”. Ostatnią część zdania ochoczo podchwyciono i zaczęła żyć własnym życiem. Od dłuższego czasu chętnie wykorzystują ją prawicowe media, by zdezwuować przeciwników politycznych.

Ktoś mógłby dostrzec tu symetryzm, ale jedyny symetryzm, jaki tu może zachodzić, polega na tym, że jeśli pewna grupa uważa, że druga jest jej niechętna, to pozwala sobie wobec niej na odwzajemnianie tego samego. To zjawisko zostało dobrze opisywane przez psychologów społecznych, było również przedmiotem badania dotyczącego polaryzacji politycznej w Polsce, przeprowadzonego przez Centrum Badań nad Uprzedzeniami, z którego raport został przedstawiony na początku tego roku i wywołał sporo dyskusji.

Jak wspomniałem wcześniej to, co zrobimy z uczuciami, tak jak z talentami czy słabościami, zależy od nas. Choć wiele się dziś mówi o złych skutkach tłumienia w sobie emocji, to jednocześnie trudno nie dostrzec, że w niektórych przypadkach dawanie im upustu przynosi równie negatywne efekty, o czym możemy się przekonać, zaglądając do mediów społecznościowych czy komentarzy na stronach internetowych i forach. Jak słusznie zauważył Jakub Wygnański w ostatnim numerze „Res Publici”, życie publiczne

w demokracji wymaga podejmowania wysiłków, także tych związanych z własną postawą, niedopuszczaniem do głosu wszystkich emocji, jakie się pojawiają.

Jednak w ostatnim czasie mieliśmy do czynienia z przypadkami, które pokazały, w jaki sposób można nienawiści ulec. Najlepszym przykładem jest chęć oczernienia sędziów, którzy przeciwstawiali się zmianom wprowadzanym w sądownictwie, o co oskarżany jest były wiceminister sprawiedliwości, Łukasz Piebiak. Za jego wiedzą w mediach społecznościowych miał odbywać się zorganizowany hejt prowadzony przez *outsourcingowaną* osobę. Jak silna musiała być pokusa płynąca z nienawiści, by się jej poddać?

Innym przykładem mogą być publiczne kłamstwa, będące przejawem pogardy dla obywateli, grą na ludzkiej wiarygodności, a może i naiwności. Właśnie to zdaje się najbardziej oburzające w sprawie związanej z lotami marszałka Kuchcińskiego.

W ŻYCIU SPOŁECZNYM

Z jawnym przejawem, a wręcz szerzeniem, nienawiści mieliśmy do czynienia podczas I marszu równości w Białymstoku. Tu jednak dochodzimy już do poziomu społecznego. Politycy jedynie przyzwalali na tworzenie i utrwalanie tego klimatu, jednak to nie działalność polityków zrodziła tak silną niechęć.

Za wytwór nienawiści, jak się zdaje wyjątkowo polski, należy uznać tzw. patotreści. To szczególnie niepokojące zjawisko, ponieważ mają z nim kontakt przede wszystkim dzieci i młodzież, a więc osoby, których wrażliwość społeczna dopiero się kształtuje. Pojawiające się podczas *patostreamingu* zachowania są wynikiem pogardy dla drugiego człowieka, wspólnoty, w której się żyje, oraz świata. To szczególnego rodzaju kontrkultura, w cieniu której wychowują się przyszli obywatele.

Zatrważająca jest też obojętność wobec niej. Choć odpowiednia reakcja jest niewymagająca i nieobarczona ryzykiem z naszej strony, kiedy natrafiamy na nieodpowiednie treści, nie podejmujemy żadnych działań. Trzeba przyznać, że choć na razie nie przynoszą oczekiwanych rezultatów, to postawa obywatelska w Internecie jest pożądana, bo dziś to tam w dużym stopniu przeniosło się nasze życie publiczne, tam kształtują się nasze zachowania, które będą budować świat przyszłości. Niektórzy badacze zauważają, że przyzwolenie na hejt wzięło się z programów rozrywkowych typu

Idol, w którym kontrowersyjne, często obrażające uczestników, wypowiedzi jurorów spotykały się z poklaskiem.

Dziś przestrzeń Internetu przypomina mi właśnie Warszawę lat 90. i początku lat 2000, w której się wychowywałem. Wszystko trochę rzucone na żywioł, miejsca, w które lepiej się nie zapuszczać, dużo nieładu, brak odpowiednich regulacji i działań. Od tamtego czasu wiele się zmieniło dzięki podjęciu odpowiednich kroków. Zdaje się, że podobny proces transformacji zaczyna się w sieci. Serwisy tworzą regulacje prawne i wewnętrzne, które mają przeciwdziałać występowaniu negatywnych zjawisk, przede wszystkim w nowych przestrzeniach publicznych takich jak Facebook, Twitter, czy coraz bardziej YouTube. Ostatnio dotarła do nas informacja, że platforma należąca do Google'a, usunęła 17 tys. kanałów i skasowała 500 mln komentarzy, w których pojawiła się mowa nienawiści. Zmiana, jaka dokonała się w Warszawie w ciągu ostatnich dekad, może napawać optymizmem również w odniesieniu do Internetu. Choć i w tym przypadku potrzeba na to czasu.

Rozprawę o nienawiści francuski filozof André Glucksmann rozpoczyna słowami: „Raz rozpalona do białości i brutalna, innym razem zimna i podstępna, niestrudzona nienawiść krąży po świecie”. Obecnie w Polsce dociera ona do nas z różnych stron. Rozbudza ją polityka, hejt wylewa się z Internetu, szczególnie zatrważa kontakt młodzieży z patotreściami, które przesiąknięte są nienawiścią i pogardą przybierającą różne formy. Przyzwyczajamy się do tego wszystkiego. W jaki sposób przełoży się to na naszą przyszłość? Czy czeka nas czas nienawistny, w którym będziemy się nienawiścią żywić, czy obecna sytuacja uwrażliwi nas na jej przejawy, wytworzy swoiste przeciwciała i pojawi się w nas nietolerancja na nią?

PIOTR GÓRSKI – historyk idei.

Tekst ukazał się w „Res Publice” 9 września 2019 r.

PAWEŁ MARCZEWSKI

POLSKA POTRZEBUJE KOREKTY DEMOGRAFICZNEJ

Po raz kolejny zwycięstwo w głosowaniu powszechnym może nie wystarczyć do zdobycia największej liczby miejsc w parlamencie.

Gwałtowne zmiany demograficzne w Polsce sprawiły, że wyborcy z niektórych okręgów mają większą władzę, podczas gdy inni są niedoreprezentowani. Zjawisko to widać od dłuższego czasu, ale będzie szczególnie dotkliwe w wyborach parlamentarnych 15 października.

Równość praw wyborczych jest istotną cechą demokracji. Pomysły takie jak przyznanie wielu głosów bardziej wykształconym, sugerowane na przykład przez Johna Stuarta Milla w jego esej *O wolności* (1859), lub ograniczenie prawa głosu tylko do mężczyzn lub właścicieli ziemskich, są relikami przeszłości, czasów, kiedy demokracje były wciąż niedoskonale.

Systemy wyborcze określają, w jaki sposób głosy przekładają się na mandaty. Każdy musi uwzględniać populację kraju i dzielić dostępne miejsca, mandaty lub głosy między mieszkańców. We współczesnych społeczeństwach populacje zmieniają się jednak znacznie szybciej niż w poprzednich dziesięcioleciach. Większość rozwiniętych gospodarek o wysokim standardzie życia weszła w okres niżu demograficznego, co oznacza, że niektóre regiony wyludniają się szybciej, np. duże miasta.

I WŁAŚNIE DLATEGO POTRZEBUJEMY KOREKTY

Niepowodzenie kolejnych parlamentów w przeprowadzeniu korekty demograficznej okręgów wyborczych, wraz z osobliwościami systemu wyborczego, może wypaczyć wynik październikowej rywalizacji wyborczej na korzyść Prawa i Sprawiedliwości.

Zasadniczo bowiem, zmiany demograficzne w kraju powinny być okresowo odzwierciedlane w wyrównaniu obwodów głosowania. Aby zapewnić, że każdy głos ma taką samą moc a każdy wyborca taką samą szansę na wybranie swojego przedstawiciela, dostępne mandaty powinny być rozdzielane między obwody głosowania proporcjonalnie do liczby osób w nich mieszkających. Zdominowany przez PiS, kończący kadencję, parlament powinien był skorygować to niedociągnięcie, zwłaszcza że Państwowa Komisja Wyborcza wezwała go do tego w zeszłym roku.

W polskim systemie wyborczym liczba mandatów dostępnych w każdym z 41 obwodów głosowania zależy od liczby mieszkańców i tzw. normy przedstawicielstwa. Ta ostatnia to liczba obywateli przypadająca na każdy z 460 mandatów w niższej izbie parlamentu. W oparciu o oficjalną liczbę mieszkańców obliczoną przez Państwową Komisję Wyborczą we wrześniu 2022 r., norma wynosi 78 424 mieszkańców na mandat.

W odniesieniu do okręgów wyborczych miara ta wskazuje, że 11 z nich powinno mieć o 1 mandat mniej niż w obecnym kodeksie wyborczym, podczas gdy 10 powinno mieć o 1 lub nawet 2 mandaty więcej.

Jak argumentował profesor Jacek Haman w artykule dla Fundacji Batorego, parlamentarzyści zazwyczaj dość niechętnie dostosowują liczbę mandatów do zmian ludnościowych, gdyż zmusza to ich partie do dostosowania się do nowych reguł gry. Im bardziej liczba mandatów „nie nadąża” za zmianami demograficznymi, tym większe ryzyko zmiany dotychczasowej większości.

PKW rekomendowała korektę liczby mandatów przypadających na okręg w 2014 r., kiedy to uznano ją za konieczną w 10 z 41 okręgów. W 2018 r. wniosowała o zmiany w 12 okręgach, a w 2022 r. w 21, czyli w połowie z nich, jak podaje Haman.

TAJEMNICA NIEOBECNYCH I IGNOROWANYCH

Zmiany rekomendowane przez PKW rozwiązują problem nieproporcjonalnego podziału mandatów spowodowanego wyludnianiem się jednych okręgów i wzrostem liczby mieszkańców w innych. Nie rozwiązują jednak problemu rozbieżności między liczbą uprawnionych do głosowania a liczbą mieszkańców w niektórych obwodach.

Ponieważ liczba mandatów jest przydzielana na podstawie tej ostatniej, okręgi z dużą liczbą mieszkańców, ale mniejszą liczbą uprawnionych wyborców, są w niekorzystnej sytuacji. Różnice między liczbą mieszkańców a uprawnionych wyborców mogły w przeszłości nie być tak znaczące. Jednak wraz z depopulacją, imigracją i emigracją stają się one coraz ważniejsze.

Jak wskazano w niedawnym raporcie opublikowanym przez Fundację Batorego i Unię Metropolii Polskich, obecny sposób obliczania liczby mieszkańców, który jest podstawą do obliczania liczby mandatów w każdym obwodzie głosowania, nie uwzględnia istotnych zmian ludnościowych. Dane o liczbie mieszkańców PKW otrzymuje od samorządów, które biorą pod uwagę osoby zameldowane i korygują je na podstawie spisu wyborców o tych, którzy zadeklarowali zamiar głosowania w obwodzie innym niż miejsce stałego zamieszkania. Metoda ta nie uwzględnia jednak dużych kategorii wyborców i mieszkańców.

Po pierwsze, chodzi o imigrantów mieszkających w danym obwodzie, ale nieuprawnionych do głosowania. W ostatnich latach Polska stała się przecież krajem imigracji. Według danych Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej w 2022 r. liczba cudzoziemców posiadających prawo do pracy w Polsce wyniosła ponad 1,7 mln osób. Dlatego rozbieżność między liczbą mieszkańców w niektórych okręgach wyborczych a uprawnionych do głosowania rośnie. W niektórych obwodach może być ona nawet tak wysoka jak w Kalifornii, gdzie mieszkańcy stanowią ponad 12 proc. populacji USA, ale 11 proc. uprawnionych do głosowania.

Po drugie, obecna metoda dystrybucji mandatów pomiędzy okręgami nie uwzględnia przypadków migracji wewnętrznych, które nie zostały zarejestrowane w spisach wyborców. Jeśli obywatel przeprowadzi się do innego okręgu wyborczego i nie zmieni oficjalnego miejsca zamieszkania, zostanie uwzględniony tylko wtedy, gdy

zdecyduje się zarejestrować do głosowania w nowym okręgu. Ponadto, jego niepełnoletnie dzieci będą nadal liczone jako mieszkańcy poprzedniego obwodu głosowania, ponieważ nie mogą jeszcze głosować, a zatem nie mogą być zarejestrowane jako nowi wyborcy w ich faktycznym miejscu zamieszkania.

Po trzecie, zanim Polska stała się atrakcyjnym celem imigracji, była krajem emigrantów. Wielu obywateli wyjechało za granicę po przystąpieniu do UE, ale nadal są zarejestrowani jako mieszkańcy, przyczyniając się do liczby mandatów przypisanych do poszczególnych okręgów. Co więcej, nadal mają prawo głosować za granicą jako obywatele polscy, ale ich głosy są przydzielane do jednego obwodu głosowania – w Warszawie.

W 2019 r. stanowili oni 22 proc. wszystkich głosów oddanych w tym okręgu, ale nie mieli wpływu na liczbę przypisanych do niego mandatów. Jak wyliczył Haman, gdyby głosy oddane przez Polaków mieszkających za granicą zostały uwzględnione w podziale mandatów w warszawskim okręgu wyborczym, zyskalby on dodatkowe 7 lub 8 mandatów.

PRZYCZYNY NIEPOKOJU PiS-u

Niechęć parlamentu do wprowadzenia nawet niewielkich korekt w ordynacji wyborczej i aktualizacji podziału mandatów między okręgi nie była dużym problemem, gdy populacja Polski nie zmieniała się tak szybko. Teraz, gdy Polska stała się domem dla wielu migrantów, a Polacy masowo migrują zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz, niechęć ta staje się szkodliwa dla równości reprezentacji.

Jest to nie tylko kwestia zasad demokracji, ale może ona wpłynąć na wynik nadchodzących wyborów. Wiele zależy od tego, jak wyrównany będzie wyścig między PiS a Koalicją Obywatelską, a także które inne partie i koalicje opozycyjne przekroczą odpowiednio pięcio- i ośmioprocentowy próg wyborczy. W oparciu o poprzednie wyniki wyborów i dane sondażowe, opozycja jest jednak upośledzona. Państwowa Komisja Wyborcza postulowała dodanie 1 mandatu w 9 okręgach i 2 mandatów w jednym. Spośród 10 okręgów, które powinny otrzymać dodatkowe mandaty, opozycja zdobyła większość głosów w 8, także w tym, w którym powinny zostać dodane 2 głosy. Wygrała też w 7 z 11 okręgów, które powinny mieć o jeden mandat mniej. Jeśli

założymy, że preferencje wyborcze w tych okręgach będą takie same w 2023 r., oznaczałoby to, że opozycja mogłaby zyskać dodatkowe 2 mandaty, a partia rządząca stracić 2.

Dodanie mandatów do okręgu warszawskiego proporcjonalnie do liczby głosów oddanych przez Polaków mieszkających za granicą zmieniloby wynik wyborów jeszcze bardziej, bo oznaczałoby dodatkowe 7 lub 8 mandatów. W wyborach w 2019 r. zdecydowana większość wyborców w tym okręgu poparła opozycję: Koalicja Obywatelska otrzymała 42 proc. głosów, Sojusz Lewicy Demokratycznej 18 proc., a Prawo i Sprawiedliwość 28 proc.

Wszystko to oznacza, że w grę mogło wchodzić dodatkowe 10 mandatów – liczba ta jest więcej niż znacząca, jeśli wybory doprowadzą do stworzenia parlamentu bez wyraźnej większości.

PREMIA DLA ZWYCIĘZCY

Oczywiście nie wszystkie dodatkowe mandaty musiałyby trafić do partii z większością głosów w danym okręgu, nawet jeśli założymy, że preferencje wyborcze pozostałyby takie same jak w 2019 r. Należy jednak zauważyć, że polska ordynacja wyborcza przyjmuje metodę d'Hondta podziału głosów. Zgodnie z nią wszystkie głosy oddane na daną listę partyjną, która przekroczyła próg 5 proc. w przypadku pojedynczej partii i 8 proc. w przypadku koalicji, dzielone są przez kolejne liczby począwszy od 1. Otrzymane ilorazy są następnie porządkowane od najwyższego do najniższego dla wszystkich partii. Mandaty przydzielane są do kolejnych ilorazów aż do momentu, gdy wszystkie mandaty zostaną zajęte. Im większa przewaga zwycięskiej partii, tym większa premia w mandatach, więc bardzo silny wynik w okręgach opozycyjnych z dodatkowymi mandatami z pewnością oznaczałoby ich więcej dla opozycji, zwłaszcza w okręgu warszawskim.

To, czy zmieniloby to ogólny wynik wyborów, jest kwestią otwartą. Jednak w 2019 r. partia rządząca otrzymała 43 proc. wszystkich głosów, co przełożyło się na 235 mandatów, dając jej niewielką większość w 460-osobowej izbie niższej.

W tym samym czasie połączone partie opozycyjne (Koalicja Obywatelska, Sojusz Lewicy Demokratycznej i Polskie Stronnictwo Ludowe) uzyskały 48 proc. głosów, ale

tylko 213 mandatów. Konfederacja zdobyła 6,8 proc. i 11 mandatów. Liczby te pokazują, że partia rządząca uzyskała niewielką większość parlamentarną bez uzyskania większości głosów. W tych wyborach szanse PiS na zdobycie bezprecedensowej trzeciej kadencji u władzy są na krawędzi, co oznacza, że zakłócenia w systemie wyborczym nabierają znaczenia.

Zalóżmy, że mniejsze partie opozycyjne przekroczą granicę, co oznacza, że zdobyte przez nie głosy nie zostaną zmarnowane, a mandaty przydzielone dwóm wiodącym ugrupowaniom. Opozycja może być o krok od utworzenia większości. Brakująca garstka mandatów, które zdobyliby przy wprowadzonej korekcie demograficznej, może zadecydować o zdobyciu władzy lub pozostaniu w opozycji.

PAWEŁ MARCZEWSKI – stypendysta programu Marcina Króla. Kierownik jednostki badawczej Obywatele w ideaForum, *think tanku* Fundacji Batorego, członek Carnegie Civic Research Network i współpracownik Centrum Studiów nad Młodzieżą SWPS. Doktor socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Jego główne obszary zainteresowań to związki między zmianami demograficznymi a demokracją, ruchy społeczne, organizacje społeczeństwa obywatelskiego i sprawiedliwość społeczna. Współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.

Artykuł ukazał się 29 sierpnia 2023 r. w [Visegrad Insight](#).

REDAKTOR NACZELNY	Tomasz Kasprowicz
REDAKTOR PROWADZĄCA	Dominika Rafalska
REDAKCJA	Dominika Rafalska (wywiady), Spasimir Domaradzki (sprawy międzynarodowe), Galan Dall (Visegrad Insight), Magdalena Jakubowska (#WomenAreNATO), Tomasz Kasprowicz (ekonomia), Adam Jasser (Visegrad Insight), Wojciech Przybylski (Europa)
REDAKCJA JĘZYKOWA, KOREKTA	Dominka Rafalska
FOT. NA OKŁADCE	Canva PRO.
WYDAWCA	Fundacja Res Publica im. H. Krzeczковского "Res Publica Nowa" ul. Gałczyńskiego 5 00-362 Warszawa, tel.: +48 22 692 47 84, e-mail: redakcja@res.publica.pl facebook: Res Publica Nowa twitter: @respublicanowa www.publica.pl

WSPIERAJ RES PUBLIKĘ:

- PRZEKAZUJĄC STAŁĄ LUB JEDNORAZOWĄ DAROWIZNĘ NA KONTO:
59 2490 0005 0000 4520 7698 5723
- KUPUJĄC PUBLIKACJE W NASZEJ KSIĘGARNI – WWW.PUBLICA.PL/SKLEP

respublica
DAJE DO MYŚLENIA